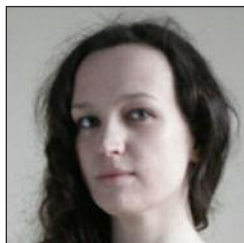


## Jak Linda uratował Wajdę



### BARBARA SZEWCZYK

Reżyser filmowy, absolwentka Szkoły Filmowej w Łodzi  
i New York Film Academy w Nowym Jorku

**Smutno patrzeć, jak w swoim ostatnim filmie *Mistrz* popełnia szkolne błędy i stosuje łopatologię. „Powidoki” dają się oglądać głównie dzięki świetnej grze aktorskiej**

Młodych adeptów X muzy uczy się już na początku, że w filmie nie można mówić wprost. W ten sposób unika się banału. W ogóle najlepiej nie używać zbyt wielu słów, a pokazywać, pokazywać i jeszcze raz pokazywać. I odróżniać opowieść od publicystyki. Film fabularny to opowieść, zbyt dużo encyklopedycznych informacji go zabija. Niestety wszystkie wyżej wymienione błędy – te, na które uczula się i młodych scenarzystów, i reżyserów – popełnił w swoim ostatnim filmie „Powidoki” Andrzej Wajda.

### Malarz nowoczesny

Szkoda, bo główny bohater filmu, Władysław Strzemiński, to intrygująca postać. Urodzony w końcu XIX w., w Mińsku białoruskim, podczas I Wojny Światowej stracił rękę, nogę i wzrok w jednym oku, walcząc w carskim wojsku. W szpitalu w Moskwie poznał młodą sanitariuszkę (pół Rosjankę, pół Niemkę) Katarzynę Kobro. Po wojnie pobrali się i przeprowadzili do odrodzonej Polski, zamieszkali

w Łodzi, gdzie stali się czołowymi przedstawicielami awangardy w sztuce – Ona w rzeźbiarstwie, On w malarstwie.

I Wojna Światowa wyrzuciła świat do góry nogami, kasując stare wartości, m.in. takie jak mieszczański styl życia i obyczajowość. Objawiało się to w każdym aspekcie życia, również w architekturze, sztuce użytkowej i modzie. Formy uległy uproszczeniu, zrezygnowano z ornamentu (uznawanego za niepotrzebny i brzydki wyraz starej epoki), stawiano na funkcjonalność, która miała być odpowiednia dla nowoczesnego człowieka. Podobnie działo się w sztuce. Już od początku wieku kształty coraz bardziej upraszczano, stosowano różne punkty widzenia i wrażeniowość w odbiorze oglądanych obiektów. Wielu artystów odeszło całkiem od realizmu, proponując formy abstrakcyjne. Wielu przedstawicieli polskiej awangardy, w tym właśnie Władysław Strzemiński, uważało, że ich nowo wypracowane formy powinny stosować się w służbie społeczeństwu i państwu, dlatego nasz bohater transferował je do sztuki użytkowej i teorii budowania nowoczesnych miast.

W okresie międzywojennym doprowadził do powstania pierwszego w Europie Muzeum Sztuki Nowoczesnej, które otworzono w Łodzi. Wraz z przyjaciółmi artystami kupował zagraniczne dzieła sztuki, które potem własnymi siłami sprowadzali do Polski. Zapoczątkowały one kolekcję muzeum. Strzemiński nie chciał zostawać w tyle za innymi krajami, dlatego uważał, że bardzo ważne jest tworzenie w Polsce sztuki awangardowej i kolekcjonowanie jej. Był z przekonania socjalistą i niekoniecznie zgadzał się z sanacyjną władzą, dlatego wydawałoby się, że nowe komunistyczne czasy, po II Wojnie Światowej, będą lepszym gruntem dla jego działań.

### **Ofiara socrealizmu**

I tak było przez kilka pierwszych lat po 1945 r., kiedy Strzemiński z całym zaangażowaniem włączył się, jako artysta, w budowanie nowej Polski dla bezklasowej wspólnoty. Uważał, że nowoczesna forma, dla socjalistycznego, międzynarodowego społeczeństwa, powinna być uniwersalna, właśnie taka jak sztuka awangardowa. Zatem awangarda powinna idealnie iść w parze z ideologią budowy nowego świata. W końcu, z tych właśnie powodów artyści awangardowi ZSRR mieli się u początków istnienia tego państwa bardzo dobrze. Strzemiński upierał się także, że każdy artysta powinien mieć swobodę twórczą, by móc poszukiwać nowych form, żeby potem wykorzystać je w praktyce. Napisał obszerną pracę teoretyczną „Łódź sfunkcjonalizowana” o tym, jak przekształcić zbudowane na chaotycznym kapitalizmie miasto, którego plany, gdy powstawało, nie uwzględniały warunków życia większości ludzi, czyli robotników. Był współzałożycielem, a potem wykładowcą Państwowej Szkoły Sztuk Plastycznych w Łodzi

(dzisiejszej ASP). Zaprojektował „salę neoplastyczną” w Muzeum Sztuki w Łodzi, mającą być połączeniem dzieła sztuki samego w sobie z przestrzenią wystawieniową, prezentującą dzieła i estetykę awangardową.

**Wielu artystów polskiej awangardy, w tym właśnie Władysław Strzemiński, uważało, że ich nowo wypracowane formy powinny stosować się w służbie społeczeństwu i państwu**

Jednak około 1950 r., gdy młode państwo już się ustabilizowało, a władza zaczęła poświęcać więcej uwagi sztuce i propagandzie, zdecydowano, że jedynym nurtem artystycznym w Polsce Ludowej będzie socrealizm, z czym Strzemiński się nie zgadzał. To zapoczątkowało falę niepowodzeń artysty, od wyrzucenia go z uczelni, po oddalenie ze Związku Artystów Polskich, co skutkowało brakiem możliwości podjęcia pracy, a nawet możliwości kupowania artykułów malarskich. Strzemiński popadał w coraz większą biedę, gnębił go głód i choroba. Wspierali go wówczas byli studenci. Zmarł na gruźlicę w 1952 r. Rehabilitowany w świadomości społecznej został po Odwilży. Odbudowano wtedy salę neoplastyczną (zniszczoną w 1950 r.) i wydano dzieło jego życia „Teorię widzenia”. I właśnie tej ostatniej części życia artysty i wizjonera poświęcił swój film Andrzej Wajda.

## Szkolne błędy Mistrza

Niestety reżyser w nieznośnie łopatologiczny sposób skonstruował panegiryk dla malarza awangardzisty. Opowiedział nam historię w sposób bardzo jednostronny, nie przedstawiając wiary bohatera w socjalizm i jego pełne pasji zaangażowanie w działalność artystyczno-społeczną przez kilka lat po II Wojnie Światowej. Z filmu wnioskujemy, że Strzemiński był przeciwnikiem komunizmu i nowej władzy, a pozostając wiernym sobie, marnie zakończył swój żywot. Czyż nie bardziej refleksyjną byłaby historia ideowca, który został zniszczony przez siłę, w którą wierzył? Wystarczy przypomnieć sobie wielowymiarowe dzieło o podobnej tematyce rosyjskiego reżysera Nikity Michalkowa „Spaleni słońcem” z 1994 r., w którym złożoność sytuacji i pobudek bohaterów (zdeteminowanych przez trudną rzeczywistość czystek 1936 r.), jest tak głęboka, że nie pozwala zapomnieć o filmie na bardzo długo.

W „Powidokach” mamy nie tylko jednowymiarowych bohaterów, ale też mówienie wszystkiego wprost, co sprawia wrażenie braku zaufania do widza. Przykładowo nastoletnia dziewczynka, zapytana przez nauczycielkę, czy jest córką Władysława Strzemińskiego i Katarzyny Kobro, odpowiada: „Tak, ale oni nie są razem”. Podane na tacy, jak w elementarzu. A przecież za chwilę oglądamy scenę, w której dziewczynka przychodzi do domu Strzemińskiego i – mówiąc do niego „tato” – odgrzewa mu placki. Gdy ojciec odmawia, ona zapewnia, że zrobiła je sama, a więc nie są od mamy. W ten sposób dowiadujemy się, że dziewczynka nie mieszka z ojcem, i że między rodzicami nie jest dobrze. Nie trzeba było nam tego mówić wprost, zatem poprzednia scena

nie była potrzebna. Takich przykładów jest w filmie więcej.

W każdym podręczniku do budowania opowieści filmowej mówi się, że konflikt popycha fabułę do przodu, że bohater powinien mieć przede wszystkim konflikt wewnętrzny, że nie powinien być krystalicznie czysty, bo przecież w prawdziwym życiu tak nie jest. Dzięki temu wierzymy, że bohater jest realnym człowiekiem. Przez ponad sto lat istnienia kinematografii oraz od tysięcy lat dramatu teatralnego przekonaliśmy się, że nie można przedstawiać świata jako czarno-białego, w którym zły jest zły definitywnie, z natury, i nie ma przy tym żadnych wątpliwości, a po drugiej stronie stoi, w podobny sposób, niezachwianie dobry bohater. Tak konstruuje się jedynie bajki dla dzieci.

Jestem zaskoczona, że reżyser, mający doświadczenie jak żaden inny, potrafił popełnić tyle błędów. Może to po prostu wiek i choroba nie pozwoliły mu już jasno oceniać kolejnych dubli realizowanych na planie filmowym? Dodatkowo scenariusz i dialogi są słabe, a przecież reżyser, choć nie jest ich autorem, musiał je zatwierdzić. Zaskoczenie jest jeszcze większe, gdy dowiadujemy się, że scenarzysta wypełnił wcześniej teksty do tak kultowych filmów jak „Sami swoi” czy serial „Dom”.

## Zachowawczo o awangardziście

Na szczęście film ma też parę zalet. To choćby pociągający nastrój plastyczny, który pozostawia w człowieku ślad. Dobrą robotę wykonali scenografowie, aranżując skromne, acz przytulne mieszkanie malarza, ze starymi meblami z ciemnego drewna, pomiędzy którymi połyskuje jaskrawa żółć nowoczesnych krzesel i stołów, zaprojektowanych przez samego Strzemińskiego. Na wyobraźnię działa również

zestawienie anturażu lat 50. XX w., noszącego znamiona mieszczańskiego życia sprzed lat, z nowoczesną sztuką proponowaną przez naszego bohatera. Dodatkowo powojenna bieda sprąła z ówczesnego świata wszystkie kolory. Tym bardziej malarstwo Strzemińskiego i rzeźby jego żony stoją w silnym kontraście z tamtym światem. Są świeże, bardzo kolorowe i o prostych kształtach. Wysmakowane światło w zdjęciach Pawła Edelmana także kreuje pociągający nastrój. Podkreśla go również dobra i przejmująca muzyka.

### **Reżyser w niezdolnym łopatologicznym sposobie skonstruował panegiryk dla malarza awangardzisty**

Jednak przede wszystkim ten film i historię, na swoich barkach, dźwiga główny aktor – Bogusław Linda, którego z przyjemnością można w tym miejscu pochwalić. Patrząc na niego wiele osób nie potrafi nie myśleć o Franzu Maurerze ze słynnych „Psów” Władysława Pasikowskiego. Warto jednak się tego wyzbyć, przypominając sobie wybitne dawniejsze role aktora, w takich filmach, jak „Przypadek” Krzysztofa Kieślowskiego czy „Kobieta samotna” Agnieszki Holland z 1981 r. Jeśli zapomni się o twardzielu, który trafiał tylko na „złe kobiety”, to wierzy się w jego Strzemińskiego. Czujemy, że to dojrzały mężczyzna, który swoje przeszedł, i którego zawód jest pasją totalną, dlatego wierzymy, że może mówić o sztuce na okrągło i to z wielką emfazą. Dodatkowo Linda pięknie się starzeje i zmarszczki

dodają niezwyklej głębi wyrazowi jego twarzy. Czasami nie musi mówić nic. Wystarczy, że patrzy z pewnym grymasem czy napięciem, a dojrzałość już sama rysuje to, co dzieje się w środku. Mam wrażenie, że aktor niejako ratuje ten film. Sympatycznym i emocjonalnym wątkiem stało się też wprowadzenie postaci córki malarza, granej przez Bronisławę Zamachowską (nastoletnią córkę aktora Zbigniewa Zamachowskiego). Dziewczynka, mimo jeszcze niedoskonałej gry, ma w sobie charyzmę, która ożywia wydarzenia oglądane na ekranie.

Żałuję jednak, że nie podjęto próby przedstawienia tej historii w bardziej innowacyjny formalnie sposób. Gdy opowiada się o artyście, warto pobawić się formą (rodzajem zdjęć, montażem, inscenizacją), by mówiła coś o twórczości bohatera. Jednak film ten został zrealizowany raczej zachowawczo. Dodatkowo miasto Łódź w filmie nie wybrzmiało w ogóle. Pojawiło się w kilku wąskich ujęciach plenerowych i w dialogach, a przecież jest z artystą mocno splecione. Akademia Sztuk Pięknych nosi dziś jego imię, w nauczaniu czerpie z tradycji awangardowych, współczesne logo Łodzi nawiązuje do alfabetu zaprojektowanego przez Strzemińskiego, a Muzeum Sztuki dynamicznie się rozwija.

Szkoda, że ostatni film wielkiego reżysera, który stał się niechętnym zwieńczeniem jego kariery, okazał się jednym ze słabszych w jego bogatej i wyjątkowej twórczości. Choć paradoksalnie „Powidoki” mają jedną dużą zaletę: dzięki nim, być może, studenci szkół filmowych będą uczyć się na Wajdzie nie tylko, jak kręcić dobre filmy, ale i jakich błędów nie popełniać.